

Manekin

Spoglądam na tłum maleńkich mrówek, które pędzą w pośpiechu. Dokąd tak zmierzają? Tego nie wiem nawet ja, nie mogę spoglądać na nie jednocześnie, pomimo wielu przydatnych zdolności. Ludzie sądzą, że potrafię się dwoić i troić, ale to nieprawda. Skupiam się tylko na jednostkach, a że mam zaledwie kilkadziesiąt lat lub jedynie kilka dni na poznanie danej mrówki, to zdarza się, że po raz pierwszy natykamy się na siebie dopiero w momencie ostatecznym.

Nie znoszę takich chwil, nie mają w sobie nic przyjemnego, są najnudniejszym momentem mojej pracy. Siadam wtedy w swoim małym gabinecie i czekam, aż przez próg przestąpi jakiś staruszek. Zaczyna opowiadać swoją historię, o której nie mam bladego pojęcia. Równie dobrze może mnie okłamywać, ale nawet mu tego nie wypomnę. Wiedźcie więc, że te wszystkie historie o Sądzie Ostatecznym to brednie. Ostateczność to ja, koścista sekretarka zawinięta w czarny materiał.

Na czym więc polega proces „przejścia”? Szukam ciekawych opowieści, choćby zmyślonych. Jestem jak pisarzyna potrzebujący natchnienia, chcę się zabawić, mieć coś z tego nudnego życia. Pewnie dlatego nie spełniam swoich obowiązków tak, jak powinnam, ale kto jest w stanie mi o tym powiedzieć? Może jeszcze ktoś miałby mnie zwolnić? No proszę, jestem szefem sama sobie i to jest najpiękniejsze!

Przypadki zdarzają się różne, jak to w życiu bywa. Nie do wszystkich można zapalać sympatią. Nudzą mnie słuźbiści, którzy przez kilka godzin opowiadają mi o niedopełnieniu obowiązków i innych nużących sprawach związanych z polityką prowadzoną przez państwo. Z chęcią bym im przerwała, lecz muszę siedzieć bezczynnie, czasem obrzucać ich spojrzeniem i udawać, że słucham. Potakuję głową i wlepiam w nich puste oczodoły. Nie mogą z nich nic wyczytać, to duża ujma.

Podczas takich rozmów czas staje w miejscu, dzięki czemu jestem w stanie spowodować, że różnice w godzinach zgonów są niewielkie, a pod moimi drzwiami nie czekają mrówki ustawione w kolejkę. Nienawidzę kolejek, nienawidzę czekać.

Nie mam jakichś wielkich klepsydr, stopera czy filmowego klapsa do kontroli upływających sekund. Można powiedzieć, że znikam na parę chwil z powierzchni Ziemi, a życie na niej bez obecności Śmierci nie jest możliwe. Śmierć jest nierozłączną częścią egzystencji, dopełniają się jak dobro i zło, choć wzajemnie się zwalczają. Zabawne, prawda?

Wielu ludzi zastanawia się, co czeka ich po „drugiej stronie”. Szczerze mówiąc, stron, a raczej Drzwi, jest aż czworo. Sama dokładnie nie wiem, co się za nimi znajduje. Gdybym to sprawdziła, już bym stamtąd nie wróciła. Może i potrafię skakać z planety na planetę, ale Drzwi można otworzyć i przebyć jedynie raz.

Wiem jednak, co oznaczają poszczególne z nich. Niebieskie, utożsamiane z Niebem, są miejscem dla ciekawych ludzi. Niekoniecznie dobrych, po prostu intrygujących. Przepuszczam tam nawet morderców, jeśli są przekonujący. Na te Drzwi ma szansę każdy. No może poza jednym rodzajem człowieka. Kilka razy miałam taki przypadek...

– Rozumiesz, moja żona zupełnie nic nie podejrzewała! Sekretarka nigdy się nie wygadała, a gdybyś wiedziała, co robiliśmy w godzinach pracy! – Facet aż wstał z miejsca. To kłamstwo, że nie mam uczuć. Poczułam się urażona, a przynajmniej ta część mnie, która musiała poświęcać czas takim obleśnym osobnikom.

– Rozumiem, rozumiem. Tyle mi wystarczy – rzekłam. – Czerwone Drzwi są dla ciebie.

– Ale kiedy ja jeszcze nie skończyłem. Kazałaś mi opowiedzieć całą historię. To nie koniec – obruszył się jak mały chłopiec.

– Nasłuchiłam się już. Mam jeszcze wiele do zrobienia, pogódź się z tym. Czerwone Drzwi – powtarzam.

– Czekają mnie za nimi kobiety, prawda? Czerwień to kolor pożądania. – Kiwam głową. Wszystko, byle wreszcie się go pozbyć.

Drobnym szkopułem pracy kościstej sekretarki jest to, że nie mogę zmusić rozmówcy, by wybrał wskazane przeze mnie Drzwi. Gdybym wepchnęła go do środka, poniosłabym tego konsekwencje.

Dziwne, bo żadnej wyższej siły ode mnie już nie ma. To po prostu mój świat gwarantował mi pogruchotanie kości w zamian za niesubordynację. Tak było napisane w regulaminie, który dostałam na początku pracy. Wolałam na wszelki wypadek go przestrzegać, w końcu złożyłam na nim swój podpis, ale czytanie tego drobnego druczku było może większą mordęgą niż karanie.

W dodatku nie wiem, wobec kogo się zobowiązałam, nie znam twórcy dokumentu. Chyba papier zapisywał się sam podczas tworzenia świata i czekał na kogoś odważnego, kto zadba o to, by na Ziemi nie panowało przeludnienie.

W końcu chłopaczyna zniknął za Czerwonymi Drzwiami. Poczułam silny impuls, coś jak wysysający wszystko wir czy czarna dziura. Domyślałam się, że na jej końcu nie znajduje się nic wyjątkowego. Może nawet tego końca nie ma. Może przestrzeń ciągnie się bez przerwy, a człowiek pod wpływem wirowania wydłuża się i ćwiartuje.

Dlaczego wskazałam chłopczekowi właśnie te Drzwi? Nie dlatego, że nie tolerowałam zrad. Zdrada nie wykluczała Niebieskich Drzwi, o ile była podszeptnięta przeze mnie. Jeśli zaś ludzie czynili zło z własnej woli, to oznaczało, że do niczego się nie nadają. Co innego moje słowa zachęty – były niepodważalne, trudne do odparcia. Lubiłam zarówno tych, którzy im ulegali, jak i tych, którzy uparcie z nimi walczyli. Powiedzmy więc, że ci znani przeze mnie osobiście, mieli u mnie większe szanse na łaskę.

Pozostałe Drzwi nie były już takie istotne. Zarówno Żółte jak i Białe stanowiły swego rodzaju poczekalnię, tyle że biała cofała mrówki do życia ziemskiego, umożliwiała im jeszcze dopracowanie swojej historii, w której wyczułam jakiś zgrzyt. Żółte zaś dawały nadzieję, lecz nie możliwość na przeniesienie do lepszej lokacji.

Jak wyglądało moje spędzanie czasu poza tym nudnym zajęciem przydzielania Drzwi? Dużo podróżowałam. A to na Ziemię, a to na Marsa czy Jowisza. Ludzie nie mogli tego wiedzieć, ale na każdej z tych planet rozkwitało życie. Nie szkodzi, jeszcze kiedyś to odkryją. Na razie są na etapie stwierdzenia, że inne ciała niebieskie niż to, na którym mieszkają, są zamieszkałe jedynie przez bakterie. Dobre i to.

Na powierzchniach najbardziej zbliżonych do Słońca pojawiają się żywe organizmy pokryte pancerzem odpornym na żar. Prawdopodobnie zrodziły się z materii, która jest w ciągłym obiegu. Może są pyłem, może szczątkami asteroid – tego nie wiem nawet ja.

Te stworzenia na pierwszy rzut oka zdają się wspinać. Nie potrzebują tlenu, żywią się kamieniem i rozkruszają go własnymi zębami. Mało brakuje, a zaczęłyby pochłaniać się nawzajem. To jeszcze kwestia kilku lat, a kanibalizm wśród tych stworzeń będzie zjawiskiem powszechnym.

Co dzieje się w rejonach kosmosu, gdzie promienie świetlne nie docierają? Lodowe planety są wręcz oblegane przez oślizgłe, podłużne stwory, które przypominają jakieś nie do końca rozwinięte larwy. Jasnożółty smar pokrywa całe ich ciało, ocieplając je i chroniąc przed zamarznięciem. Te długie organizmy muszą mieć głowy ze stali, bo przebijają się nimi przez lód i ukrywają się w nim lub po prostu śpią.

Doprawdy, nieodkryty jeszcze świat aż prosi się o dostrzeżenie. Jest tego wart, sama o to zadbałam. Jakim cudem? Przecież nie jestem jedynie niszczycielem. Jestem także stwórcą, którego tak wielu z ludzkich istnień nazywa swoim Bogiem. Słucham ich modlitw, a jakże. Co ciekawsze zapamiętuję i namierzam ich adresatów. Od tamtej pory są na moim celowniku, towarzyszę im w każdym momencie.

Z reguły jest tak, że umiem tworzyć życie, ale nie jestem w stanie o nie dbać. Nie mogę dać mu szczęścia, samo musi nauczyć się je osiągać. Ja potrafię jedynie wprowadzić do niego jakiś chaos, zamienić je w proch. Sztuka radowania i miłości nie jest dla mnie. To zadanie ludzi, zbyt przyziemne jak na tak wysokie stanowisko, które obejmuję.

Dziwne, że pomimo mojego braku sympatii do mrówek, one same widzą we mnie źródło swoich inspiracji. Te, które kiedykolwiek mnie dostrzegły, pisały wiersze o moim obliczu, sporządzały szkice. Na ich podstawie ukształtował się mój ogólny obraz akceptowany przez społeczeństwo. Prawdę mówiąc, mogę przybierać takie formy, jakie tylko zapragnę. Wystarczy odrobina wyobraźni, a tej mi nie brakuje. Polubiłam jednak ten wizerunek kostuchy, uosobiłam się z nim. Wzbudzam nim respekt, a to odczucie jest w mojej pracy mile widziane.

Tego dnia, kiedy upatrzyłam sobie smakowity kąsek, zostały mi do wyznaczenia ostatnie Drzwi. Przywołałam do siebie jakąś losową osobę, którą dostrzegłam na Ziemi jako pierwszą. Jeszcze chwila, a później mogłam w spokoju wyruszyć na poszukiwanie nowego pupilka do zadręczenia.

– Zabrałem ją na kolację, ale nie spodobał się jej lokal. Narzekała pod nosem, a po zjedzonym, najdroższym posiłku z karty obrzuciła mnie wilczym spojrzeniem. Okazało się, że miałem pusty portfel. Przeoczyłem ten drobny fakt, a kartą płacić mi nie pozwolili. Zrobiła to za mnie, a potem nękała mnie o pieniądze przez długi czas. Głupio, że ich nie zwróciłem. Powiedziałem jej nawet coś w guście, że wolałbym spędzić noc ze Śmiercią i byłoby bardziej romantycznie. No i może parę słów o tym, że kostucha wyglądałaby bardziej urodziwie – stwierdził około pięćdziesięcioletni mężczyzna o podłużnej twarzy.

Zebrało mi się na śmiech. Urzekająca historyjka. Zostawić kobietę dla Śmierci, toż to wyborna wymówka.

– W dodatku miałem rację, jesteś ładniejsza od niej – stwierdził bez skrępowania. Chyba lubił obgryzać kości.

– Uważaj, bo każę ci podać jej nazwisko i sama to ocenię – przestrzegłam z ledwie dostrzegalnym uśmiechem szczęk.

– Anita Korczyk – powiedział bez większego wahania.

– Podobasz mi się. Jesteś pokracznym romantykiem i chamem w jednej osobie, całkiem jakbyś przeżywał rozdwojenie jaźni. Niebieskie Drzwi dla ciebie. – Podeszedł do nich niepewnie, ale chyba podobało mu się to, co zobaczył po drugiej stronie. Cokolwiek to było.

Szczerze mówiąc, ciekawość po naszym poznaniu zżerała mnie tak bardzo, że odnalazłam całą tę Anitkę. Znając jej dane, nie było to trudne. Gdybym mogła, pewnie zmarszczyłabym czoło na jej widok. Mężczyzna miał rację. Przy niej nawet ja mogłam poczuć się piękna. Zastanawiało mnie jednak, czemu jakikolwiek facet zechciał się z nią umówić? Była naiwna, łatwa, jej portfel pękał w szwach? Może wszystko na raz. Cóż, dla tej fortuny może pokusiłabym się na jakąś wspólną noc w przypadku tych nieszczęśników. Odwróciłabym głowę, pomyślałabym o modelce i byłoby w porządku. Zresztą już ja tam wiem, ilu z nich rzeczywiście tak postępuje.

Tamtego dnia postanowiłam zaszyć się na polach lawendy we Francji. Nieczęsto tam przebywam, choć lubię to miejsce. Jest jednak zbyt wesoło nastrajające, a ja wolę, by w dobry nastrój wprawiały mnie błędy popełnione przez moje mrówki. Te ludzkie są jednak o tyle mądrzejsze, że kiedy się zagubią, nie zaczynają krążyć w kółko bez większego celu.

Wśród długich łodyg o fioletowych, pachnących kwiatach siedział jakiś młodzieniec, który rozłożył na ziemi swoją koszulę, skrzyżował nogi i bazgrolił coś w notatniku. Okazało się, że szkicuje, ale jak on to robił, tego nie wiem do dziś. Siedział pośrodku lawendowego

poła i wgapiał się w niebo, a na kartkach szkicownika powstawały jakieś wielkie metropolie. To było niepojęte nawet dla mnie. Pomimo wszystko nie jestem wszechwiedząca.

Spodobał mi się jego zmysł artystyczny. Wszystko wydawało się poukładane i na miejscu, a jedynym syndromem wskazującym na nerwy w strzępach był ołówek kreślący drżące proste szybkimi ruchami. Drugą wskazówką oczywiście okazały się myśli blondyna, które wydawały się krzyżeć i błagać mnie o pomoc. To znaczy Boga. Czyli mnie.

Położyłam się obok niego, lecz on nie mógł dostrzec, jak kwiaty uginają się pod moim ciężarem. Przyjrzałam mu się uważnie.

– Jesteś zdruzgotany, prawda? Problemy w domu, nie dogadujesz się z rodzicami, a twoje rysunki nie trafiają do żadnego z mecenasów, tak? – Wiedziałam, że mnie nie usłyszysz. Można mnie jedynie dostrzec, a i to bardzo rzadko, jedynie w szybach, lustrach i odłamkach szkła, których unikam jak ognia. Udało mi się jednak przypomnieć młodzikowi o nieprzyjemnych sferach życia, dzięki czemu łatwiej było mi nim sterować.

– To do niczego – bąknął pod nosem i zgniótł metropolię jednym uściskiem dłoni. Niesamowite. Gdybym tak mogła chwytać planety w swoje kościste palce, rozkruszać je na małe kawałeczki i rozdzielać na zawsze zżytych ze sobą ludzi. To dopiero byłaby zabawa!

– Wydawało się całkiem niezłe, marudzisz – odparowałam. – Wy, ludzie, macie do tego predyspozycje. Nie umiecie się za siebie wziąć. Wciąż tylko narzekacie, jak to wam jest źle, jak z niczym sobie nie radzicie. Nie, żebym was w tym utrwałała. – Zaśmiałam się cichutko. – No, koniec użalania. Znajdziemy ci jakieś zajęcie. Co ty na to, mróweczko? – Szturchnęłam swoją ofiarę, ale ta uparcie nie reagowała, nawet nie drgnęła. – Może wykopałbyś sobie tutaj jakieś podziemne przejście, jaskinię? Znasz się na tych wszystkich proporcjach, na pewno podołałbyś zadaniu. Mógłbyś urządzić sobie małą pracownię. Może tworzyłbyś w niej obrazy ludzkich ciał? Może przekształcałbyś je na moje podobieństwo? – Zero reakcji. Wyjątkowo uparta sztuka. Rzadko się takie trafiają. Warknęłam na niego, życząc mu szybkiego zejścia.

Postanowiłam dać mu chwilę odpoczynku, jednak nie zapomniałam o nim. Wciąż powtarzałam w myślach jego imię i nazwisko. Denis Johnson, Denis Johnson i tak w kółko, byle nie wypadło mi z głowy. Odwiedzałam go w każdej wolnej chwili. Spoglądałam na nowe pliki rysunków, malunków i szkiców. Każdy z nich piękny, wyjątkowy, ale niedoceniony. To podbudowywało w młodzieńcu determinację, ale też furję z każdą zgniataną kartką czy dziurawionym płótnem. Wciąż jednak nie pozwalał moim szeptom zawładnąć jego umysłem.

W tym samym czasie zaczęłam obserwować pewną waleczną dziewczynę, która nie zgadzała się z nikim i z niczym. Indywidualiści pochłaniali mnie najbardziej. Ich zagmatwany umysł wydawał się fascynujący, najtrudniejszy do rozgryzienia. Pewnie dlatego zakodowanie w nim moich pomysłów było tak satysfakcjonujące.

Czarnowłosa Carmen stawiała piękno swojego ciała na równi z postawą buntu. Mieszkała samotnie, a jej łazienka prezentowała się jako największe ze wszystkich pomieszczeń. Wzrok przykuwała przede wszystkim wanna na lwich łapach, która stała pośrodku. Dziewczyna spędzała w niej sporą część swojego czasu. A to się uczyła, a to rozmyślała, a to po prostu pozbywała się chorych frustracji.

Pomimo pozoru siły nie potrafiła pogodzić się z życiem, z jego realiami. To, że stała się sierotą w zbyt wczesnym wieku, nie było moim udziałem. Ludzie nie potrzebują moich nakłonień do tego, by się upić, wsiąść za kierownicę i po prostu kogoś rozjechać, uciekając z miejsca zbrodni. W tym pomaga im wolna wola.

Carmen lubiła spoglądać, jak krew z jej ponacinanych opuszków palców skapuje do spienionej wody, barwiąc ją i rozchodząc się powoli po jej powierzchni. Nie bawiła się nożem zbyt często, jedynie w szare i ponure dni, kiedy nie miała do kogo otworzyć buzi.

Zabawa w kąpiel, szkarłatne kropelki była jej dziwnym fetyszem. Kiedy ją rozpoczynała, zazwyczaj przysiadłam na skraju wanny i spoglądałam na nią jak na dziecko, które wyciska wodę ze swojej gumowej kaczuszki czy gąbki. Carmen cechowała się nadmierną dorosłością, która przenikała się z utraconym dzieciństwem. Krew była więc swego rodzaju zamiennikiem – za kolorowe kredki, lalki, zabawy na dworze i buziaki rodziców.

Potrzebowała uwagi. Wiem, że czuła moją obecność, choć nie potrafiła jej zdefiniować. Może nawet odczuwała strach, bo lękała się spojrzenia w lustro, jakby nie chcąc zobaczyć mnie za swoimi plecami. Nie potrafiła mnie zdefiniować, ale wiedziała, że często jej towarzyszę. Jak Bóg. Jak fatum.

Wielokrotnie nakłaniałam ją do targnięcia się na swoje życie, lecz wycofywała się w ostatnim momencie. Jej opór do złudzenia przypominał mi postępowanie Denisa... który swoją drogą także potrzebował czyjegoś uwielbienia. Dlaczego by więc nie mieli się spotkać? Swego czasu oboje byli moimi ulubieńcami.

Nie bądźmy jednak naiwni – te długie obserwacje nie sprawiły, że zapalałam do tej dwójki miłością. Nie chciałam także wzniecić jej między nimi, bo i jaki miałabym w tym cel? Nie potrafię robić takich obrzydliwych rzeczy. Czym w końcu jest zakochanie? Paskudny i okropny stan, podczas którego człowiek czuje nieustannie, jakby miał stryczek na gardle.

I właśnie wtedy zdarzył się cud. Denis wreszcie mnie wysłuchał. Nie w kwestii dziewczyny, bo tej jeszcze nie znał, ale dostrzegłam, że kupił cały stos jakichś metalowych rurek, których konstrukcja miała pomóc w utrzymaniu sufitu wykopanego tunelu. Zaopatrzył się też w łopatę i siłą własnych rąk po jakimś miesiącu urządził dla siebie niewielką pracownię, którą rozbudowywał wciąż i wciąż. Malował w niej jedynie przy świetle przenośnej lampki na baterie.

Sprawił jednak wrażenie, jakby nie wiedział, po co zbudował system tych korytarzy i pokoi, jakby robił to w transie. Może tak właśnie było, nie jestem w stanie orzec. Najwidoczniej jednak to miejsce nie natchnęło go, bo wciąż marszczył brwi, chodził w kółko i nic z tego nie wynikało. W tamtym momencie zrozumiałam, czego tak naprawdę pragnie. Odczytałam to z tych ciemnych odmętów jego umysłu, do których rzadko kiedy człowiek ma dostęp.

– A może ty potrzebujesz jedynie manekina? – podsunęłam pomysł. – Potrzebujesz wzoru, który możesz przekształcić. Wielu ze słynnych malarzy tak właśnie robiło.

– A gdybym tak... Może potrzebuję jakiegoś modelu, jakiegoś ciała? Może mógłbym malować je, a potem zmieniać tak, jakbym tego chciał? – zastanowił się głośno. Wreszcie udało mi się do niego dotrzeć, odkryć ten tor w głowie, którym najczęściej podąża jego pociąg myślowy.

– Możesz przeistaczać swoje obrazy w krew i kości, w nędzę, w jaką zamienia się człowiecze ciało po zniknięciu duszy – zapaliłam się na ten pomysł równie mocno jak on, choć nie okazywał tego ostentacyjnie.

– Mógłbym rzeźbić ludzkie ciało, jak tylko mi się podoba... – rzekł cicho, odkrywając nieznaną. Może nie do końca o to mi chodziło, Denis najwyraźniej gustował w rzeczach pięknych, nie w cechującym je okropieństwie. Nie pochwycił pomysłu tworzenia na moją chwałę. Nieco mnie zawiódł, ale jeszcze nie na tyle, bym ukróciła jego żywot. Zamierzałam mu się jednak przypodobać, wciąż liczyłam, że w końcu spełni moją prośbę i rozstawi mnie... to znaczy swoje obrazy.

Zamierzałam dać mu więc najpiękniejszy wzór, jaki widziałam do tej pory. Jak jednak miałam to uczynić, skoro ich dwoje, zarówno Carmen jak i Denis, z taką zachłannością uciekali przed światem?

Robiłam wszystko, by uprzykrzyć Carmen pobyt w domu. Zmuszałam ją, żeby wychodziła z niego chociażby do sklepu, by kupić coś, co się zepsuło. Z początku gniły jakieś produkty spożywcze, a kiedy i to nie skłaniało dziewczyny do dłuższego spaceru, sprawiałam, że żarówki się przepalały, telewizor wyłączał samoistnie co kilka sekund, a telefon tracił sygnał.

Myślę, że Carmen zdawała sobie sprawę, że nad nią czuwam. Nie wiedziała, kim ani czym jestem, ale obawiała się mnie, choć wołała tego nie okazywać. Dostrzegłam to po jej błędzącym wzroku, jakby wypatrywała mnie w powietrzu. Nastął dzień, kiedy wreszcie jej się to udało. Zobaczyła mnie zaraz po kąpieli, kiedy stała całkiem naga przed lustrem. Wlepiłam wzrok w tego idealnego manekina i zapomniałam się cofnąć. Cóż, nawet Śmierci zdarzają się drobne potknięcia.

W jednym momencie oczy Carmen rozszerzyły się, a ona sama odskoczyła z przerażeniem od lustra, przysłaniając usta dłońmi. Dopiero po dłuższej chwili jej opuszki dotknęły zimnej tafli, mojego bladego odbicia.

– Kim ty jesteś? – wyszeptała drżącym głosem, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Moja koścista dłoń spoczęła na jej plecach. Wpijałam palce w jej kręgi, potęgowałam strach, wypełniałam Carmen przeraźliwym chłodem.

Nie odpowiadałam, obserwując, jak drży. Właściwie to mogło ułatwić mi zadanie. Szybko zrozumiałam, że mogę utworzyć złudne wrażenie, iż to właśnie mieszkanie dziewczyny jest nawiedzone. Nie miała pieniędzy na wyprawdawkę, ale mogła uciekać. Na zewnątrz. Na pole lawendy.

Długo nie chciała posłuchać moich podszeptów i udać się tam, gdzie proponowałam. Uważała mnie przecież za złą siłę, której należy przeciwdziałać. W końcu zabrakło jej jednak perspektyw i któregoś dnia z wściekłością cisnęła mydelniczką w sam środek lustra, które się rozpadło. W miejscu szkła pozostała pustka. Rama jej nie zagrażała, ale niezamiecione odłamki wciąż ukazywały zarys mojej kościstej postaci.

Carmen upadła na kolana. Rąbnęła pięściami w ziemię, a po jej policzkach spłynęły łzy wielkie jak grochy. Krzyczała i wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki tak długo, aż w końcu nie wyszeptała skierowanych do mnie słów.

– Czego chcesz? Czemu po prostu nie odejdziesz? – Jej dłonie przecięte szkłem zaczęły krwawić. Plastry przestały wystarczać.

– No i po co się mażesz? Przecież to nie ja jestem powodem twoich zmartwień. To nie ja uprzykrzam ci życie, a jedynie twój upór – rzekłam znudzona, ale najwyraźniej moja mrówka tego nie usłyszała. Zamknęła przede mną swój umysł, mała spryciara.

Nie szkodzi, pomyślałam sobie i otworzyłam okno z nadmierną siłą. Roleta załopotała, a do środka wdarł się zapach lawendy. Carmen wciągnęła go w nozdrza i otarła łzy.

– Tak bardzo zależy ci, żebym tam poszła? Dobrze, w takim razie zrobię to, czego chcesz. Tylko już odejść – poprosiła i wstała z miejsca. Pewnie ktoś, kto patrzyłby na nią z boku, uznałby ją za osobę z urojeniami. Może nawet ona sama postrzegała się w ten sposób.

Uśmiechnęłam się swoim bezzębnym uśmiechem. Byłam z siebie dumna. W końcu udało mi się zrealizować jedno z trudniejszych zadań w moim nie-życiu. Ten fakt sprawił, że stałam się na tyle łaskawa, by działać już wyłącznie z ukrycia.

Carmen usiadła pośrodku polany i zgarbiła się. Wyglądała na spiętą i zmęczoną. Wciąż błędziła wzrokiem, jakby szukała mnie pomiędzy źdźbłami lawendy. A ja byłam tuż przy niej! Tuż przy jej policzku. Nie mogła jednak wyczuć mojego oddechu. Pewnie dlatego w końcu miała złudne wrażenie bezpieczeństwa.

Znacznie się już ściemniło, ale ona wciąż tkwiła w miejscu. Widocznie brakowało jej spokoju, nie chciała wracać do domu. Nareszcie.

Zacierалам chrześzczące dłonie z niecierpliwością. Wiedziałam, że jeszcze tylko chwila, a Denis wychynie ze swojej kryjówki. Zawsze pracował wieczorem, robił sobie krótką przerwę, a później wracał do pracy i kończył dopiero nad ranem. Spał przy tym naprawdę niewiele, funkcjonował nieco jak wampir żywiący się ciemnością.

Miałam tylko nadzieję, że ten młody mężczyzna mnie nie zawiedzie, że nie postanowił właśnie tego dnia urządzić sobie przerwy, odpoczynku. W końcu już dawno go nie odwiedzałam. Byłam zbyt zajęta aranżacją tego spotkania. Równie dobrze Denis mógł rzucić tę robotę i poukładać sobie życie na nowo. Tylko na co byłby ten cały trud rozkopywanie pracowni?

Nie rozczarowałam się. Kiedy tylko zapadł zmrok, kłapa uniosła się w górę, a ja... zdałam sobie sprawę, że Carmen siedzi na samym jej środku. Dziewczyna odskoczyła jak poparzona, przy okazji rozrywając jeden z bandaży, którymi owinęła nadgarstki. Spojrzała z przestachem na Denisa, on zaś na nią.

– Przepraszam – odezwał się, dalej nie mogąc wyjść ze zdziwienia. Wyglądał na wymęczonego. Miał podkrążone oczy, a jego wyraz twarzy świadczył o tym, że od dawna nie stworzył nic dobrego, a raczej zadowolającego jego osoby. – Nie spodziewałem się, że zobaczę tutaj kogoś o tej porze.

– Ja z kolei nie spodziewałam się, że ziemia po prostu zacznie się pode mną podnosić – rzekła, dalej w szoku.

– To dobrze. Zawsze wydaje mi się, że kłapa jest zbyt widoczna – powiedział, na co ona otworzyła szerzej oczy. Chyba spodziewała się, że ma do czynienia z mordercą.

– Czy mogę wiedzieć, co tam robisz? – odezwała się niezbyt pewnie i wskazała na korytarz.

– Tworzę. Jestem malarzem. Niepopularnym i nieopłacanym, ale jednak malarzem – stwierdził, spoglądając na Carmen i zwracając uwagę na każdy jej szczegół. Chciałam zobaczyć w oczach Denisa podziw, ale nic z tego. Nie byłam w stanie zajrzeć nawet do jego umysłu, tak jakby jego konstrukcja nagle stała się bardziej zawiła, niezrozumiała. Dziwne, rzadko spotykałam się z czymś podobnym w przypadku trzeźwo myślących ludzi.

– Czyli... nie jesteś nikim szkodliwym? Wiesz, czytałam kiedyś taką książkę, w której dziewczynka została zgwałcona przez sąsiada właśnie w takim podziemnym... – Denis nie pozwolił jej dokończyć. Może to i lepiej, bo głos Carmen drżał tak, jakby bała się mężczyzny bardziej niż Śmierci. Albo była nim zauroczona, na jedno wychodzi.

– Strasznie dużo mówisz. – Powstrzymał ją ruchem dłoni. – W dodatku strasznie szybko. Zwolnij trochę, proszę. Nie jestem gwałcicielem.

– Pewnie nawet gdybyś był, odpowiedziałbyś tak samo. – Carmen wzruszyła ramionami, ale podniosła się z ziemi i otrzepała już nieco pewniej.

– Chyba skaleczyłem cię w dłoń. Nie chciałem. – Mężczyzna spojrział na koniuszki zbroczonych krwią palców dziewczyny.

– To nic, raczej ja jestem winna. – Carmen machnęła na to ręką. – Nie jestem zbyt ostrożna.

– Mogę dać ci jakieś plastry. Na dole mam apteczkę. Często kaleczę się przy poszerzaniu korytarzy. Przy okazji pokażę ci moją pracownię, jeśli tylko masz ochotę. Mógłbym coś dla ciebie namalować. Krytycy wciąż mówią, że jestem niedoskonały, ale może chociaż ty stwierdzisz inaczej. O moich obrazach, no wiesz – wytłumaczył się. Wyglądał na skrępowanego. Carmen najwyraźniej to zauważyła, bo tryskała pewnością siebie.

– Właściwie nigdzie mi się nie spieszy. – Wzruszyła ramionami. – Przyjaciół też nie mam, ale pomimo to wołałabym wyjść na powierzchnię. O własnych siłach – dodała, a on skinął głową.

Ukradkiem przemknęłam za nimi, choć miejsca w jaskini raczej nie było dla takiego tłumu. Dotarliśmy do głównej pracowni, gdzie Carmen mogła rozejrzeć się w spokoju. Szeroko rozdziawiła usta i patrzyła na stertę piętrzących się na sobie obrazów. Oglądała te wszystkie metropolie i widoki, sprawiała wrażenie, jakby zniknęła z wydrążonego w ziemi korytarza.

– A tamten? Co to takiego? – Sięgnęła po skryte w rogu płótno szybciej, niż dłoń Denisa zdążyła ją powstrzymać.

– Nie patrz, jest jeszcze niedokończony, poza tym... – Ale już było za późno. Carmen rozchyliła materiał, a jej palce kurczowo zacisnęły się na widok namalowanej kobiety. Nawet ja zaniemówiłam. Obraz okazał się zupełnie inny od pozostałych.

Wyimaginowane ciało modelki na płótnie było wygięte w łuk. Jej pozycja nie sprawiała jednak wrażenia zmysłowej. Pewnie dlatego, że kobieta jawiła się jako martwa, a część jej ciała pokryta licznymi bliznami rozkładała się do tego stopnia, że ukazywała pustkę oczodołu i żebra, które o mały włos nie przebijały cienkiej, pergaminowej skóry.

Wokół blondynki panował mrok. Jej usta wyginały się w taki sposób, jakby usiłowała krzyczeć w swoim zmartwiałym świecie. Musiała być jakimś wytworem wyobraźni, bo nie przypominałam sobie, żebym przepuszczała ją przez którekolwiek z Drzwi, lecz wydawała mi się aż nazbyt rzeczywista. Nikt nie namalowałby takiej twarzy, kierując się jedynie pamięcią.

Wrażenie prawdziwości burzyło jedynie to, że młodzieńca dziewczyna była całkiem naga, a każdy mięsień jej wychudzonego i obitego ciała napinał się aż nazbyt widocznie. Po jej udzie spłynęła kropelka krwi. Prawdziwej, szkarłatnej krwi, która ukradkiem kapnęła z palca Carmen.

– Jezu, tak cię przepraszam, zaraz to zetrę! – spieszyła się, a Denis złapał ją za nadgarstek i odebrał płótno. Nawet ja postrzegałam go w tamtej chwili jako zdenerwowanego.

– Nie, zostaw. Wygląda teraz jeszcze bardziej realistycznie. Całkiem niezłe – stwierdził. – Pomimo to nie powinnaś go oglądać.

– Przepraszam. Nie musisz się tego wstydzić. Faceci mają różne fantazje, poza tym artysta tworzy to, co przyjdzie mu do głowy, nie to, co rzeczywiście uważa za słuszne. Tak mi się przynajmniej wydaje – zaczęła. – Twój obraz robi piorunujące wrażenie. Wydawało mi się, jakby ta dziewczyna wyciągała po mnie dłonie, wołała mnie.

– Naprawdę tak sądzisz? – zapytał z niedowierzaniem, ale z jakim entuzjazmem!

– Tak, masz duży talent. Nie rozumiem, czemu nikt go nie docenił. Ten portret jest zupełnie inny od wszystkich. Dziwi mnie, że mecenas nie wyrazili się o nim pozytywnie. Jest świetnym odwołaniem do *danse macabre*. To zestawienie piękna w obliczu ze śmiercią, które je odbiera, jest imponujące – rzekła z podziwem. Jej strach powinien urosnąć na sile, w końcu atmosfera temu sprzyjała, ale ona poczuła się udomowiona.

– Więc sądzisz, że połowa ciała przypomina Śmierć? – zagadnął jakby od niechcenia i spojrzął w niewielkie lustro, które trzymał przy sobie podczas pracy. Chyba często chciał mnie dostrzec, ujrzeć we mnie źródło swojej inspiracji.

Pokazałam mu się, a jakże. Może gdybym umiała ronić łzy, jedna z nich spłynęłaby po moim kościstym policzku. Byłam wzruszona, choć rzadko mi się to zdarzało. Ten chłopaczek naprawdę zrobił to wszystko dla mnie! Ciężko było mi w to uwierzyć, a jednak jakaś ziemską istotą nie bała się mnie – wręcz przeciwnie.

Bez zbędnych rozmów wiedziałam, że przeznaczę Denisowi Niebieskie Drzwi. Zastępował na nie bardziej niż ktokolwiek inny. A może uczyniłabym go swoim pozaziemskim kochankiem? Może odgrywałby rolę „Pana Śmierci”? To całkiem zabawny pomysł, muszę go sobie przemyśleć, obiecywałam.

– Jasne, że tak. To była pierwsza myśl, jaka zaświtała mi w głowie. – Przytaknęła.

– Bo wiesz, tego obrazu jeszcze nikomu nie pokazywałam. Nie wiedziałem, co o nim sądzić. Ale teraz... teraz wydaje mi się, że jest najlepszy ze wszystkich. Pomimo to chciałbym namalować coś jeszcze bardziej nieskazitelnego. – Westchnął.

– To oczywiste. To wada każdego artysty. Nie potrafi cieszyć się z tego, co właśnie stworzył, bo w głowie już ma pomysły na coś znacznie lepszego – rzekła i przeskoczyła z nogi na nogę. – Co jest na końcu tych korytarzy? – zapytała, wskazując na dwa wgłębienia.

Zdałam sobie sprawę, że przy okazji moich ostatnich odwiedzin jaskinie nie były jeszcze skończone. Tym razem mogło okazać się inaczej, ale jeszcze nie zdążyłam tego sprawdzić. Poza tym nie chciałam zepsuć sobie niespodzianki. Wolałam czekać na chwilę

sposobności, kiedy zostanę sam na sam z Denisem, a on prawdopodobnie pokaże mi resztę swoich prac tworzonych na moją cześć, które tam schował.

– Dalsza część pracowni. Ale na razie tam nie idź. Jeszcze nie jest gotowa. Rozczarowałabyś się. Poza tym nie lubię, kiedy ktoś pałęta się po kątach, które mam na własny użytek. Jesteś pierwszą osobą, którą tutaj przyprowadziłem – przyznał.

– Cóż, to dość duże wyróżnienie. Zważając na fakt, że nawet nie znasz mojego imienia... – Roześmiała się, wyciągając do niego dłoń, ale przypomniała sobie i swoich pokrwawionych palcach i natychmiast schowała ją za plecy. – Jestem Carmen.

– Denis – odparł zdawkowo. – Możesz mi coś o sobie opowiedzieć.

Carmen nie trzeba było długo zachęcać do rozmowy. Już dawno do nikogo nie otworzyła ust. Do nikogo prócz mnie, a to chyba stanowiło dla niej miłą odmianę. Wiem jednak, że chłopak jej nie słuchał.

Uważnie studiował wzrokiem każdy skrawek jej ciała. Był dyskretny, ale dosłownie czułam, jak jego umysł pracuje na podwyższonych obrotach, koduje każde znamię, mimikę twarzy, analizuje całość skóry i wspomina tę kroplę krwi, jaka zbroczyła jego obraz. A więc podchwycił mój pomysł, choć ostatnio nie rozmawialiśmy tak często jak kiedyś.

Od tamtej pory ta dwójka indywidualistów otworzyła się przynajmniej na siebie nawzajem. Często spotykali się w tym podziemnym przejściu, Carmen miała do niego dostęp, kiedy tylko chciała.

W każdym wypadku nie łączyła ich miłość – to zbyt duże uczucie, na które żadne z nich nie potrafiło się zdobyć. Można jednak rzec, że się zrozumieli, a w ich przypadku to znaczyło o wiele więcej.

Ta sielankowa atmosfera była w głównej mierze moją zasługą. Przestałam mieszać się w życie Carmen, dziewczyna odzyskała dawną werwę i można by przypuszczać, że zupełnie o mnie zapomniała. Pewnie nawet nie przypuszczała, że wrócę tylko po to, aby tym razem przyszpilić ją do dna, aby nie dać jej możliwości ucieczki.

A to wszystko dzięki dziewczynie, która pewnego dnia pojawiła się w moim gabinecie. W pierwszym momencie jej nie skojarzyłam. Słuchałam jej opowieści z cechującą mnie obojętnością, do momentu, aż przyjrzałam się uważniej jej twarzy. Jej oczy były dziwnie rozbiegane. Wtedy zrozumiałam.

To była ta blondynka! Dokładnie ta sama, którą namalował Denis. Czy to przypadek, że stawiała się na Ostateczny Wyrok w ten sam dzień, w którym mężczyzna miał oddać portret ocenie znawców?

Postanowiłam słuchać do końca, ale dziewczyna kłamała. Niedobrze, w końcu nie mogłam zmusić jej do mówienia prawdy. Zdecydowała się na inne, dużo gorsze rozwiązanie. Nie odesłałam jej jednak. Kazałam czekać i nie ruszać się z miejsca. Usłuchała mnie, a jakże! W końcu czuła przede mną paniczny lęk.

Czy to możliwe, żeby mój Denis był w stanie posunąć się do morderstwa w afekcie? Nie podejrzewałam go o to, ale to tłumaczyłoby jego ostatnie, aż nazbyt zrównoważone zachowanie. Pewnie po raz kolejny odmówiono mu wypromowania. Już ja ich wszystkich wysłę za Czerwone Drzwi, obiecałam sobie. Wszystkich, którzy choć raz nie wyrazili się pochlebnie o jego obrazach. W końcu na jednym z nich byłam ja!

Poruszałam się cicho po podziemnym korytarzu. Wcale nie musiałam się o to starać, ale w takich momentach, po wielu latach podpatrywania, wykazywałam się isticie człowieczymi cechami. Wokół nie było zupełnie nikogo. Najwidoczniej Denis potrzebował czasu, by ochłonąć.

Po niedługim czasie zjawiła się Carmen. Usiadła w głównej pracowni i posłusznie czekała, najwyraźniej chcąc poznać wyniki starań mężczyzny. Domyśliła się jednak, że niepotrzebnie się kłopotuje i wstała z miejsca.

– Nie idź jeszcze. W końcu się umówiliście. A skoro nie dotrzymał słowa, na pewno jest w jednym z tych korytarzy, do których zabronił ci wchodzić – przekonywałam ją. Na dźwięk mojego szeleszczącego głosu w swoim umyśle dziewczyna się wzdygnęła.

– To coś znowu wróciło – wyszeptała do siebie z przestachem. – Powinnam znaleźć Denisa. Tylko... gdzie mam szukać, skoro nawet go nie znam? Gdzie mógł pójść? Skoro nie siedzi tutaj... a może drąży dalsze tunele? Może po prostu nie usłyszał, jak przyszłam? – zastanawiała się głośno. Ludzie to naprawdę dziwne istoty. Czy nie wystarcza im umysł, w którym mogą dokonać wszelkich rozważań?

Postąpiła krok do przodu. Popychałam ją z całych sił ku temu drobnemu grzeszkowi.

– No już, mróweczko. Przecież dasz radę. Czasem łamałaś zasady. Zrób coś dla mnie chociaż raz bez dłuższego proszenia. To ważne – powiedziałam z naciskiem, a ona w końcu zbliżyła się do otworu w błotnistej ścianie.

Nie obchodziło mnie, który korytarz wybierze. Oba zapowiadały się obiecująco, w końcu zaplanował je Denis.

Fascynowało mnie, z jakim namaszczeniem dziewczyna stąpa w stronę zakazanego miejsca. Całkiem jak w tej historyjce o Adamie i Ewie. Ta była chyba moją ulubioną, tak swoją drogą.

Odgłos kroków Carmen odbijał się dziwnym, głuchym echem. Szła przed siebie już dobrych kilka metrów, a korytarz wciąż nie miał końca. Wreszcie dotarła do jakichś prowizorycznych drzwi. Przyłożyła do nich ucho, nasłuchując. Dotarł do nas stłumiony jęk. Dostrzegłam, że dziewczyna walczy z przemożną chęcią dostania się do środka. Uległa jej jednak, a przed naszymi oczami ukazało się coś, o czym nie miałam bladego pojęcia.

Na ziemi leżało kilka kobiet zwiniętych w kłębek i ciasno związanych metalowymi łańcuchem. Wszystkie były nagie i wygłodzone, ich skóra stała się matowa, niemalże biała.

Zdobiły ją jedynie siniaki po pojedynczych uderzeniach i odciski pozostałe po zbyt ciasno zawiązanym sznurze.

Każda z nich prezentowała zupełnie inny obraz. Ich jedyną cechą wspólną było to, że musiały wyglądać pięknie, kiedy jeszcze nikt nie zabrał ich wolności. Zarówno szatynka z wyraźnymi uszkodzeniami czaszki jak i rudowłosa piękność z garścią wyrwanych włosów oraz odpryskami szkła wżynającymi się w gardło. Twarz brunetki z kolei przyozdobiona była rozpluwającym się, czarnym tuszem. Zaschnięte ślady wyglądały jak strużki krwi. W jej ustach tkwił jakiś kawałek materiału, który uniemożliwiał mowę.

Była jedyną, która wykonywała jakikolwiek ruch. Inne... albo pomdlały, albo pożegnały się ze światem dokładnie tak jak blondynka, która leżała w kącie i tkwiła w mojej poczekalni.

Skierowałam wzrok na paletę stojącą obok. Zapłakana twarz czarnulki była już niemalże skończona. Chyba zdawała sobie sprawę, że jeśli jej portret nie okaże się doskonały, skończy tak jak jej poprzedniczki.

Nie wierzyłam, że Denis zabijał je swoimi rękami. Podejrzewałam, że w przypiływie frustracji zupełnie zapominał o twarzach, które nie przyniosły mu rozgłosu. Nie wypuszczał ich, nie pozwalał jeść ani pić, aż w końcu ich właścicielki padały z wycieńczenia.

Włosy brunetki były postrzępione i splątane. Wyrwała się z kajdan, jakby błagając stojącą w progu Carmen o ratunek. Ta jednak, w przypiływie szoku, stała w miejscu, nie mogąc się ruszyć. Słowa uwięzły jej w gardle, a palce skostniały ze strachu.

Kiedy wreszcie postąpiła krok do przodu, oczy brunetki zajaśniały dzikim przerażeniem. Zakwiliła niczym bite zwierzę, a wtem na szyi Carmen zacieśnił się zapętłony sznur. Sięgnęła do niego, chcąc rozluźnić uścisk. Jakieś ręce chwyciły ją w pól, na chwilę pozbawiając tchu.

– Mówiłem, że nie powinnaś tu wchodzić – głos Denisa otarł się o jej ucho, a ona szamotała się bezradnie, wiedząc, jakiego losu może się spodziewać.

Przerzucił ją sobie przez plecy i zaprowadził do drugiego z pomieszczeń, gdzie znajdował się jedynie metalowy stół z zaczepami na ręce, nogi i szyję oraz jakiś kosz z narzędziami.

Carmen nie płakała, jedynie krzyczała, choć wiedziała, że to daremny trud. Nieco jej współczułam, kiedy Denis porozcinał jej ubrania, ale nie nadmiernie. W końcu sama podsunęłam mężczyźnie pomysł o stworzeniu dzięki niej najwyborniejszego z obrazów.

– To niesprawiedliwe – poskarżyła się, a jej głos podwyższył się o kilka tonów. – Pomagałam ci. Wspierałam, kiedy było źle. Nie przyjęli twojego obrazu, prawda? Nie szkodzi, z następnym wyjdzie – obiecała, ale mówiła coraz szybciej, widząc, że Denis zamacza waciki w butelce ze spirytusem, a następnie przykłada je do jej przedramienia.

– Wiem, że z następnym wyjdzie – rzekł spokojnie. – I wiem, że tym razem także mi pomożesz. – Uśmiechnął się do niej. – W końcu to ciebie namaluję.

Dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego umysł mężczyzny zupełnie się dla mnie zamknął. Stało się coś, co zupełnie poprzestawiało wszystkie trybiki w jego mózgu. Był niebezpieczny, psychopatyczny, a przy tym niesamowicie inteligentny.

– Myślałam, że się rozumiemy – rzekła z wyrzutem, kiedy igła zanurzyła się w skórze, a strzykawka powoli wypełniała się krwią. – Po co to?

– Zainspirowałaś mnie – stwierdził. – Obraz ozdobiony ludzką krwią jest dużo bardziej ujmujący.

Uszczypnął ją w bok i spojrzał w lustro. Nie potrzebował mojej zgody ani aprobaty. W końcu robił to wszystko dla mnie.

– Powinnaś trochę schudnąć – orzekł. – Musimy też pomyśleć o jakimś upiększeniu... – rzekł w zamyśleniu. – Myślę, że zszycie ust takiej gadule byłoby wystarczającym dodatkiem, w końcu manekin nie powinien mówić, ale... Wpadłem na inny pomysł. Twoje palce. – Ujął je i obejrzał zakrwawione opuszki. – I tak o nie nie dbasz.

Bez słowa uprzedzenia zaczął wbijać w nie igły, jakie wyciągnął z małego pudełeczka. Niezbyt głęboko, ale na tyle dotkliwie i gęsto, by w końcu cienkie, srebrne szpikulce tworzyły swego rodzaju szkielec, który nie pozwalał właścicielce na nic poza ruchem nadgarstka.

Denis odgarnął włosy lepiące się do mokrej od łez twarzy Carmen. Jej krzyk jeszcze długo huczał mu w głowie. Podniósł jej dłoń do twarzy i przysłonił nią usta.

– Tak będzie idealnie – orzekł jak wielki znawca. – Podoba ci się? – zapytał z rozbawieniem, patrząc, jak dziewczyna szlocha, nie mogąc przestać. – Nie próbuj ich wyciągać. Włożę je z powrotem.

– Przecież dostanę... – zaczęła, ale znów wybuchła płaczem. – Dostanę zakaże... zakażenia – dokończyła wreszcie, łykając łzy.

– Szpilki są wyparzone i odkażone. Codziennie będę cię doglądać – stwierdził przymilnie.

Nie zamknął jej razem z innymi dziewczętami, ale też nie pozostawił żadnych ostrych przedmiotów w pobliżu. Traktował ją jak wyjątkowy okaz.

Tego dnia długo wołała go o pomoc i sądziła, że wyszedł na powierzchnię, zostawił ją samą. Tak naprawdę siedział po drugiej stronie drzwi i uśmiechał się, słysząc jej płacz i zapewnienia.

Dopiero trzeciego dnia nastąpiła zmiana w jego chwilowych wizytach. Naciągnął skórę na brzuchu Carmen i głęboko się nad czymś zastanowił.

– Jestem taka głodna – jęknęła dziewczyna. Jej głos był zdarty od ciągłego krzyku, posługiwała się jedynie szeptem.

– Musisz jeszcze schudnąć, ale mam dla ciebie małą przekąskę – stwierdził i podał jej szcążkowe ilości jakiegoś odtłuszczonego jedzenia, które popiła rozcieńczonym środkiem dietetycznym, jakiego kobiety używały, by czuć się syte.

Gdy odetchnęła, Denis skrupulatnie wydepilował woskiem każdy jej odsłonięty skrawek skóry, nawet ręce.

– Nie mam zbyt wiele czasu, zacznę malować już dziś. Chociażby twoją twarz – stwierdził i mocno przycisnął jej srebrną dłoń do ust. Koniuszki igieł podrapały skórę Camen, zraszając ją czerwonymi drobinkami.

Dziewczyna zacisnęła oczy, ale otworzyła je niemalże natychmiast, kiedy coś skapnęło na jej twarz i spłynęło po niej. I znów. I znów. Kropelki krwi ze strzykawki powoli mościły się na jej zmarnowanej twarzy.

– To tak dla urozmaicenia – wyjaśnił i przysunął taboret do unieruchomionej sylwetki. Przypatrywał się jej bardzo długo, bardzo starannie domalowując detal za detalem, nie pomijając ani jednego szczegółu.

Portret, choć jeszcze nieskończony, rzeczywiście wydawał się idealny, nawet dla mnie. Moje trupie kości i blada postać Carmen były niemalże nierozłączne. Patrzyłam na obraz z zachwytem i zaczęłam wyczuwać dziwną więź z dziewczyną przymocowaną do stołu.

Tego samego wieczoru spoglądałam w jej oczy, w których powoli przygasało życie. Zdawało mi się, że mnie dostrzega lub przynajmniej sobie wyobraża. Nagle jej źrenice rozszerzyły się, a w głowie zajaśniał jakiś nowy cel, bardzo silny cel. Chciała uciec. Chciała wyjść na zewnątrz, jeszcze raz powąchać lawendę. To takie proste marzenia, czyż nie?

Zerknęła w lusterko, które Denis zostawił niedaleko niej przez nieuwagę. Spojrzałam w nie, a nasze spojrzenia się skrzyżowały. Camen skrzywiła się niechętnie, wyzywająco.

– Nie uda ci się. Nie przegram tej walki. Nie z tobą – przyrzekła. – No, dalej. Zagraj ze mną, mogę nawet zamknąć oczy, policzyć do dziesięciu. Zrobię wszystko, ale nie odejdę.

Po raz pierwszy zobaczyłam w ludzkich oczach taki upór. Jeszcze nigdy nie spotkałam się z taką walecznością, wręcz wyzwaniem rzuconym prosto w moją twarz. Poczułam się speszona pod jego naporem.

Czyżbym nie wiedziała zupełnie nic o sztuce życia? Ja, która param się tym zajęciem już tyle tysięcy lat? Czyżbym musiała zacząć od samego początku? Od utworzenia kolejnych drzwi, słuchania tych idiotycznych próśb i doglądania moich mrówek? O nie, to chyba nie dla mnie. Nie na taką robotę się godziłam.

Jeszcze raz spoglądnęłam w te zapłakane oczy pod zmarszczonymi brwiami. Wsunęłam dłoń w jedno z zapięć i rozkręcałam je jednym ruchem kościanego palca.

– Z jedną ręką sobie poradzisz – powiedziałam i odwróciłam się plecami, nie oglądając się za siebie. Dotarło do mnie kolejne kliknięcie, a potem jeszcze jedno i jeszcze jedno.

– Boże, więc jednak istniejesz? – Usłyszałam tylko cichy szloch pełen wdzięczności i szamotaninę dziewczyny w drodze do drzwi.

Nie odpowiedziałam. Po prostu szłam przed siebie. Bóg? Jak go zwał, tak zwał. Jakkolwiek będą mnie nazywać... muszę się od nich jeszcze wiele nauczyć. Nauczyć się, jak żyć.